GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 CZERWCA 1936 R.

Nr. 11 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 11
1936 R.
1 — VI

N A R Ó D

Być może, iż „dno kryzysu" mamy już dawno poza sobą. Być może, iż należałoby już mówić o wejściu polskiego gospodarstwa narodowego w okres poprawy konjunkturalnej. Zwyżka wskaźnika produkcji przemysłowej, lekkie ożywienie obrotów wewnętrznych, uchwycenie równowagi budżetowej przez Skarb Państwa — oto symptomy „zmiany na lepsze".

W naszych specyficznych warunkach, kształtujących polską myśl gospodarczą i społeczną, taką, jaką widzimy i jakiej się spodziewać możemy „zmiana na lepsze" niesie w sobie zarzewie wielkiego niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwa zlekceważenia istoty zła, tkwiącego w strukturze naszego gospodarstwa narodowego, niebezpieczeństwa przejścia do porządku nad wadliwym stosunkiem społeczeństwa do przebudowy tej struktury, niebezpieczeństwa poszukiwania samej tylko *równowagi* wówczas, kiedy troska o zakres i tempo *rozwoju* sił wytwórczych powinna dominować nad błyskotliwością chwilowych efektów. Jeżeli nie potrafiliśmy w okresie głębokiej depresji wyciągnąć konsekwencyj z obnażonej przez kryzys słabości naszego aparatu wytwórczego, to można przypuszczać, iż zbyt łatwo damy się zasugerować drobnym sukcesom i zbyt prędko zapomnimy o dysproporcji sił ekonomicznych naszego gospodarstwa i gospodarstw państw sąsiednich. Ukołysani taniemi zwycięstwami możemy stracić z przed oczu cel zasadniczy: dźwignięcie kraju i społeczeństwa na nowy poziom życia.

Osiągnięcie tego poziomu możliwe jest i będzie tylko w drodze potężnego wysiłku, ogromnego skoku. Skok ten musi być większy od tych, jakich jesteśmy świadkami w niektórych krajach europejskich. Większy dlatego, że stoją przed nami o wiele ogromniejsze zadania niż przed tymi reformatorami społeczno-gospodarczymi w tych krajach, gdzie *jakieś* mniej czy więcej zwarte gospodarstwo narodowe oddawna już powstało. Taki skok, taki wysiłek wymaga właściwego startu. A startować w warunkach biernego oczekiwania, „aż całość sama się złoży", to znaczy: kultywować dzisiejsze nastroje, usiłujące galwanizować obecną strukturę w obawie przed ryzykiem, jakie tkwi w każdej przebudowie, w każdem przetwarzaniu rzeczywistości. „Państwa — powiedział Józef Piłsudski — przez gadanie nie tworzy się; państwo tworzy się wolą, z pewnem ryzykiem, powstaje w nieporządku i chaosie, a u nas jest za dużo porządku, ryzyka się boimy, by nie zrobić głupstwa, ale kto się boi Maciejowic, ten nie ma Racławic [1])".

Podejmować ryzyko można jedynie w oparciu o świadome swego celu kadry, działające w przeświadczeniu, że akcja ich zazębia się z interesem powszechnym, reprezentowanym przez naród. Należy wreszcie przesądzić, czyje ręce budować będą moc Rzeczypospolitej, kogo obejmie wspólny wysiłek, a kto pozostanie poza nim. O losach Rzeczypospolitej decydować ma polski Naród polityczny. Naród polityczny, to wszyscy obywatele-ludzie pracy, wychowani w kulturze polskiej, bądź pokrewnych, lub wreszcie ci, którzy kulturę tę naprawdę za swoją uznali. Ci wszyscy, którzy dobro Rzeczypospolitej rozumie-

[1]) „Pisma" t. III str. 100.

ją nie jako zdawkowy ogólnik, ale jako podporządkowanie interesom tego Zespołu interesów wszystkich innych zespoleń.

Rdzeniem, kością pacierzową polskiego narodu politycznego są Polacy. Naród, którego przeszłość znaczy niespełna 10 stuleci historji, który swą teraźniejszość wykuwał w wielkich zapasach z ubogiem podglebiem z nieprzyjaznem położeniem na mapie Europy i z zawsze chciwymi sąsiadami. Naród, który umiał kulturę rzymską, zachodnio-europejską na swoją przerobić.

Polskim narodem politycznym są i będą Polacy, Ukraińcy, Białorusini i Litwini. Wkład etnicznie niepolskiej części narodu — mamy tu na myśli przedewszystkiem wielką prężność ideową i twórczą inicjatywę Ukraińców — do zbiorowego skarbca, z którego ma korzystać polski naród polityczny, jest zbyt ważki, by można go było pominąć w momencie uświadomienia sobie, czem jest naród polityczny, do czego dąży i jakiemi drogami do celu dochodzi. Współdziałanie tych narodów zawiera jeszcze ten arcyważny moment, że warunki gospodarcze, w jakich one żyją i działają, są gorsze od warunków, w jakich żyje polski naród etniczny. Zaniedbanie gospodarcze terytorjum, noszącego nazwę Ziem Wschodnich i Południowo-Wschodnich wymaga sprzęgnięcia wszystkich rozporządzalnych sił narodowych, aby się z dzisiejszej niemocy wydźwignąć i dystans pomiędzy „dawnemi a nowemi laty" w przespieszonem tempie odrobić. Ekspansywność Ukraińców, jaką przejawiają w pracy organicznej na terenie Małopolski Wschodniej świadczy, że to, co piszemy, nie jest frazeologją.

W ramach polskiego narodu politycznego, którego trzonem są siłą rzeczy Polacy, mogą się wyżywać te wszystkie elementy i grupy, które interesu państwowej racji stanu — interesu Rzeczypospolitej — nie zagubią w swych własnych aspiracjach i dążeniach. Te wszystkie grupy, które potrafią przełamać swą obcość i odmienność kulturalną. Należy też z całą jasnością stwierdzić, że, chociaż zbędne zwężanie ram narodu politycznego byłoby defetyzmem, to jednak nie można liczyć na ogarnięcie przez naród ten *wszystkich* mieszkańców Rzeczypospolitej. Masa ludności żydowskiej nie zdoła jako całość wejść w skład narodu politycznego. Zbyt jest w Polsce wielka, zbyt zasklepiona i w olbrzymiej swej większości całkowicie niepodatna do podjęcia jakiejkolwiek czynnej roli w budownictwie Nowej Polski. Chociaż w przeszłości asymilicja elementu niemieckiego była zjawiskiem pospolitem, współczesna koncepcja narodowa Niemiec stawia również i niemców, obywateli polskich, poza ramami polskiego Narodu politycznego.

Nasze wyjątkowe położenie geo-polityczne, nasza bieda i nasze ambicje mocarstwowe wyznaczają drogę, po której toczy się wóz Rzeczypospolitej. Bogaci aż do przesytu w ręce robocze, ubodzy w kapitały i dary natury, dziedzice nieszczególnego spadku po zaborcach, spóźnieni w wyścigu uprzemysłowienia, posiadający dochód społeczny na głowę ludności jeden z najniższych w Europie — wiemy zbyt dobrze, iż zaspokoić ambicje mocarstwowe możemy tylko w oparciu o wielką dynamikę świadomej swego celu zbiorowości, którą nazwaliśmy polskim narodem politycznym. Zbiorowość ta musi emanować z siebie wolę przebudowy, wolę przetworzenia form i metod gospodarowania, być może, łatwych i efektownych, ale na dłuższą metę usypiających czujność i zawodnych.

Dzisiaj już nie chodzi o przetrwanie. Okres strategicznego „cofania się na wyznaczone zgóry pozycje" uważamy za zakończony. Trzymanie się go kurczowe byłoby równoznaczne z marnowaniem sił, tkwiących potencjalnie w świadomości narodu, który „trwaniu" przeciwstawić musi „działanie". Dzisiaj już nie wystarczy polityka gospodarcza i społeczna o charakterze akcji doraźnej, obliczonej na efekt chwili bieżącej. Dzisiaj, kiedy równowaga — o którą tak wiele walczono — jest już niemal uchwycona, na plan pierwszy wysuwa się „problem gruntowniejszej przebudowy polskiej rzeczywistości gospodarczej, tak, aby osiągnąć wyższy poziom dochodu społecznego, aby uzbrojenie inwestycyjne kraju wzmóc, a jego siły produkcyjne pełniej wykorzystać [1])".

Polska rzeczywistość społeczna i gospodarcza wymaga prowadzenia polityki, zmierzającej do osiągnięcia głębszych i trwalszych efektów strukturalnych. Polityka taka nie jest łatwa. Co więcej — jest i musi być kosztowna. Ale to nie może być przeszkodą, o ile będzie się ją realizowało w oparciu o polski naród polityczny, dla którego dobra pewne koszty, zapłacone przez tę czy inną grupę interesów, muszą być poniesione. Czynna postawa wobec otaczającej nas rzeczywistości i wiara w skuteczności takiej postawy oraz powszechna świadomość obywateli, że biorą istotny udział w przetwarzaniu tej rzeczywistości — są warunkiem powodzenia polityki strukturalnej, polityki — że użyjemy wyrażenia często nadużywanego — narodowej. Co przez nią rozumiemy, daliśmy wyżej swój wyraz.

*

Dlaczego staramy się określić bliżej i jaśniej środowisko — Naród polityczny, — w którem musi zrodzić się wola przetworzenia rzeczywistości? Dlatego, że z każdą chwilą staje się coraz bardziej konieczne uprzytomnienie prawdy, szczególnie doniosłej dla narodów spóźnionych w rozwoju gospodarczym, naro-

[1]) „Gospodarka Narodowa" Nr. 1/1936. (str. 2).

dów, stanowiących proletarjat gospodarstwa światowego, prawdy, która głosi że rozmiary dochodu społecznego zależne są nietylko od warunków materjalnych, nietylko od wyposażenia w surowce i kapitał, nietylko od zasobów rąk do pracy i organizacji życia gospodarczego, lecz i od *jakości psychiki zbiorowej.*

Bezpłodne jest operowanie ogólnikowym terminem „unarodowienia" gospodarstwa, bezpłodne jest liczenie, że przez zaklęcia wywoła się wolę Narodu, beznadziejne jest dla kraju, który śpieszyć się musi, liczenie na powolne, samoczynne, „klasyczne" doskonalenie się psychiki gospodarujących. W określonem środowisku, w Narodzie politycznym musimy wytworzyć nową postawę, odpowiadającą nowym zadaniom. Stworzenie przez politykę gospodarczą warunków podstawowych dla przyśpieszonej przebudowy psychiki zbiorowej to przedewszystkiem: takie kształtowanie podziału dochodu społecznego, które dawałoby całemu Narodowi pewność uczestnictwa w rezultatach zbiorowego wysiłku i postawienie przed Narodem zadań gospodarczych, obliczonych nie na dłuższą metę, któreby przez swą wielkość mobilizować mogły energję mas i uzasadniać powołanie pokolenia, któremu przypadło zadanie budowania Polski, do najcięższych trudów i wyrzeczeń.

HENRYK PNIEWSKI

UTRWALANIE WKŁADÓW PIENIĘŻNYCH

W gospodarstwie spółczesnem pewne podmioty otrzymują jako zasadniczy, czy uboczny rezultat działalności gospodarczej pewne trwałe lub przejściowe wolne nadwyżki pieniężne. Nadwyżki te mogą być wykorzystane jako kredyt pieniężny dla innych podmiotów gospodarujących.

Klasyczną postacią lokowania drobnych nadwyżek pieniężnych są wkłady a vista i terminowe. Drobne i krótkoterminowe wkłady stanowią w sumie bazę poważnych ilościowo średnio i długo - terminowych kredytów *). Na tem właśnie polega „wielkość i nędza" omawianej metody lokowania. „Wielkość" — gdyż z drobnych i krótkotrwałych wkładów uzyskujemy przez scalenie duże i długotrwałe kredyty; „nędza" — gdyż mimo wszystko scalenie to nie jest zbyt pewne i trwałe.

Możemy za prof. Rueff'em rozważyć pokrótce pewne pouczające podobieństwa i różnice między gospodarstwem narodowem, a... gazem, znajdującym się w zamkniętem naczyniu. Gaz składa się z wielkiej liczby molekuł, obdarzonych bezładnym, różnokierunkowym ruchem. Gospodarstwo narodowe składa się z wielkiej liczby (mniejszej znacznie niż poprzednia) podmiotów różnokierunkowo działających. W dziedzinie wkładów różnokierunkowość ruchu naszych „molekuł gospodarczych" wyraża się w ten sposób, że bezładne, jakby się zdawało „na oko" wpłaty lub podejmowania kwot przez wkładców dają w sumie pewien mało zmienny stan wkładów (wykazujący przytem nieraz np. trend rosnący). Teorja kinetyczna gazów nie daje nam jednak pełnej pewności, że w żadnym odcinku czasowym ruch molekuł nie stanie się niemal jednokierunkowy, iż nigdy nie zajdzie zjawisko, polegające na tem, że wszystkie molekuły, czy też olbrzymia ich większość niemal równocześnie „zbombarduje" jedną tylko ścianę naczynia, w którem gaz jest zamknięty. Fizycy zapewniają nas jedynie, że taki masowy ruch jednokierunkowy jest wysoce nieprawdopodobny, podobno tak nieprawdopodobny, że w praktyce możnaby uznać zjawisko masowego ruchu jednokierunkowego za niemożliwe. Ekonomiści — takiej nawet przybliżonej pewności nam dać nie mogą: różnokierunkowość działań wkładców jest wprawdzie „regułą", ale taką... przysłowiową, posiadającą przykre wyjątki. „Zbombardowanie" przez nasze „molekuły gospodarcze" „ściany" okienek, wypłacających wkłady, jest mało prawdopodobne, ale nie w takim stopniu, żeby uznać je za praktycznie niemożliwe. Możnaby nawet zaryzykować hypotezę, że wielki rozwój nowoczesnych środków łączności (prasa, radjo, telegraf i telefon) wytwarza coraz silniejsze więzy między „molekułami gospodarczemi", nadając przez to omawianemu ryzyku „ruchu jednokierunkowego" trend rosnący.

Technika bankowa zna wprawdzie skuteczne metody redukowania omawianego ryzyka, jednakże stosując te metody redukujemy nietylko ryzyko ale często i rolę wkładów jako bazy kredytu długoterminowego na cele z ogólno-państwowego punktu widzenia doniosłe.

Można też walczyć z ryzykiem nietylko prewencyjnie, ale i w momencie jego realizacji. Można np. nie ubezpieczyć budynku od ognia, można nawet zbudować go z materjałów łatwopalnych i wierzyć, że wrazie realizacji ryzyka pożaru wystarczy działalność ...straży ogniowej. Można podobnie ustosunkować się do omawianego ryzyka, tylko, że środki stosowane w wypadku realizacji tego ryzyka są zbyt przykre.

Człowiek rozsądny opiera się na statystycznych prawidłowościach życia gospodarczego, ale nie lubi prawidłowości tych nadużywać. Człowiek rozsądny nie myśli o walce z ponoszonym ryzykiem w przeddzień, czy w dniu jego realizacji, woli on działać prewencyjnie. Zamiast cieszyć się (nieco naiwnie!) systematycznem narastaniem wkładów, stanowiących bazę długoterminowych kredytów należałoby raczej myśleć o częściowej i stopniowej reorganizacji lokowania nadwyżek przez drobnych wkładców. Takiej

---

*) Tę nieuchronną niezgodność charakteru aktywów i pasywów instytucyj oszczędnościowych podzielał w poprzednim numerze „Gospodarki Narodowej" prof. H. Tennenbaum.

reorganizacji, któraby zapewniła częściowe utrwalenie wkładów.

Zdawałoby się, że sam fakt istnienia poważnej różnicy między stopą oprocentowania papierów różnych typów, a stopą oprocentowania wkładów pociągać za sobą powinien znaczny ruch wśród ciułaczy, ruch „od wkładu do papieru wartościowego". Myślę jednak, że nie brak danych na to, że b. duża nawet różnica stóp w Polsce nie uruchamia automatyzmu takiego na dość wielką skalę.

Gdy zastanawiamy się nad czynnikami, tamującemi ruch „od wkładu do papieru wartościowego" i pominiemy przytem czynniki, działające przejściowo, to uwagę naszą zwracają dwie zasadnicze (acz nie wyłączne) przeszkody:

a) Ciułacz nie posiada zwykle dostatecznych informacyj na to, aby zbudować racjonalnie własny portfel papierów wartościowych; skomplikowane warunki i obyczaje panujące na rynku odstraszają go od zakupu papieru.

b) Ciułacz nie zna zwykle precyzyjnego sformułowania zasady podziału ryzyka niemniej zasadę tę „wyczuwa" i chciałby ją stosować, małość kwot, które może zaoszczędzić i ulokować uniemożliwia mu stosowanie „wyczuwanej" przez niego zasady.

Istnieje forma organizacyjna, która radykalnie usuwa obie przeszkody; mamy na myśli klasyczną w Anglji koncepcję spółki lokacyjnej. Połączenie drobnych oszczędności w obrębie spółki umożliwia stosowanie zasady podziału ryzyka, kwalifikacje powiernika, kierującego sprawami lokacyjnemi spółki, obdarzonego zaufaniem osobistem ciułaczy, zastępują w zupełności osobiste kwalifikacje ciułacza. Zalecając stosowanie konstrukcji prawnej i finansowej spółki lokacyjnej niesposób jednak uwierzyć w możliwość powtórzenia angielskiej historji całkowicie samorzutnego powstawania spółek. Powstaje tu możliwość świadomej interwencji państwowej, nieograniczającej się tylko do dostosowania ustawodawstwa (zwłaszcza podatkowego) do potrzeb lokacyjnych.

Inicjowanie przez państwo dobrowolnych spółek lokacyjnych nie da niewątpliwie na najbliższą przyszłość doniosłych ilościowo rezultatów w dziedzinie reorganizacji działalności lokacyjnej. Okoliczność ta nie zmniejsza wprawdzie doniosłości spółek lokacyjnych w takiej skali czasowej, jaką operować powinna racjonalna (a więc dalekosiężna w czasie) państwowa polityka gospodarcza, niemniej okoliczność ta wskazuje jednak na potrzebę szybciej działającego środka organizacji akcji lokacyjnej. Środkiem takim jest przedewszystkiem przymus lokacyjny.

Trudno jest uznać za szczyt doskonałości doraźne stosowanie przymusu lokacyjnego. Gdy finanse państwa gwałtownie wymagają kredytu długoterminowego, a brak jest przemyślanego i obowiązującego systemu przymusu lokacyjnego, wówczas przymusem lokacyjnym obejmuje się tych, których najłatwiej „wziąć za łeb". Można wątpić czy ta „metoda" ustalania zakresu osób, podlegających przymusowi lokacyjnemu zapewnia najlepsze rezultaty gospodarcze.

Pojęcie przymusu lokacyjnego posiada bardzo szeroki i różnorodny zakres, poprzestaniemy tu na niezupełnem wyliczeniu kilku typów elementarnych:

1) przymus, narzucający pewien rodzaj lokat,
2) przymus lokowania efektywnych nadwyżek,
3) przymus lokowania pewnych ustalonych kwot bez względu na to, czy podmiot lokujący posiada nadwyżki tej wysokości.

Możliwe są też, oczywiście, typy kombinowane przymusu lokacyjnego. Próba szkicowej choćby charakterystyki optymalnego w naszych warunkach systemu przymusu lokacyjnego wykroczyłaby poza zamierzone ramy niniejszego artykułu. Chciałbym tylko zaznaczyć, że dyskutowane nieraz w prasie gospodarczej zagadnienie konstrukcji obciążeń na rzecz ubezpieczeń społecznych daje się racjonalnie pod względem gospodarczym tylko wtedy rozwiązać, gdy za punkt wyjścia rozwiązania przyjmiemy jakiś ustalony i obowiązujący system przymusu lokacyjnego. Będąc sam zwolennikiem stosowania przymusu lokacyjnego chciałbym jednak „odgrodzić się" od pewnej metody wprowadzania przymusu lokacyjnego, polegającej na tem, że w jakiejś chwili lokatom dokonanym dobrowolnie, posiadającym do danej chwili wysoką płynność, nadaje się charakter przymusowy i małopłynny. Stosowanie tej metody wprowadzania przymusu może za sobą pociągnąć zanik narastania pieniężnych lokat dobrowolnych. Przymus lokacyjny uznać można za konieczność, jednak może on tylko uzupełnić rolę dobrowolnych lokat pieniężnych, nie powinien lokat dobrowolnych zastępować.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

DLACZEGO NIE DEWALUACJA

Rozpatrując plusy i minusy ewentualnej dewaluacji złotego w naszych obecnych warunkach, trzeba przyjść do przekonania, iż w konkretnej sytuacji konjunkturalnej w jakiej znajduje się gospodarstwo polskie, dewaluacja taka jest objektywnie niepotrzebna.

Zagadnienie dewaluacji złotego przez długie lata nie stanowiło przedmiotu dyskusji gospodarczej. Naszem zdaniem — niesłusznie. Niesłusznie dlatego, że w okresie każdej depresji, każdego gwałtownego spadku cen, *musi* nasuwać się od samego początku rozumowania pytanie, czy nie właściwszem byłoby obniżyć wartość pieniądza w złocie zamiast obniżać sztucznie ceny wewnętrzne towarów wyrażone w niezmienionych co do wartości jednostkach pieniężnych? Pytanie takie, powiadamy, *musi* istnieć zawsze. Polityka pieniężna rządu, idąca w kierunku obniżania cen przy utrzymywaniu wartości pieniądza, może i powinna, oczywiście, odpowiadać z reguły na każde zapytanie w tej dziedzinie odpowiedniem wyjaśnieniem motywów, dlaczego jest dewaluacji przeciwna. Nie znaczy to jednak, aby wogóle rozmowy na ten temat były niedopuszczalne. Albowiem wynikiem tego rodzaju zahamowania dyskusji jest dość nieoczekiwany dla postronnego i nieuprzedzonego obserwatora fakt, iż dyskusja taka wybuchła właśnie jednym zamachem w tej chwili, kiedy właśnie *nie powinno* już być (chwilowo przynajmniej...) na nią miejsca. Wygląda to zatem, mniejwięcej, w ten sposób, iż do ostatnich miesięcy zagadnienie dewaluacji złotego jakgdyby nie istniało, a powstało dopiero wówczas, kiedy... wprowadzono ograniczenia w swobodnym obrocie dewiz... Przyznajemy z całą szczerością, że zupełnie nie widzimy gospodarczego związku pomiędzy polityką świadomej dewaluacji (nie mówimy tu o deprecjacji...) i polityką ograniczeń dewizowych.

Niemniej jednak, korzystając z faktu, iż na temat dewaluacji „wypada" już obecnie głos zabierać, pragniemy na tem miejscu wyjaśnić w możliwie zwięzłej formie, dlaczego dewaluacji tej — rebus sic stantibus — jesteśmy *zdecydowanie przeciwni*. Co więcej, pragniemy ustalić, dlaczego, będąc przeciwni jej w końcu 1931-ego czy w 1932-im roku (t. j. wówczas, kiedy, naszem zdaniem, miała ona niewątpliwie duże plusy...), jesteśmy jej o wiele wyraźniej przeciwni dziś, kiedy tych plusów nie posiada, minusy zaś, zawsze istniejące, konserwuje niezmiennie. Zaznaczymy raz jeszcze, że nie wchodzimy na tem miejscu w dyskusję teoretyczną. Chodzi nam o ocenę posunięcia polityki gospodarczej „pur sang" — i to właśnie w tych objektywnych warunkach, jakie mamy obecnie w Polsce i na całym świecie. Powtarzamy: *w tych objektywnych warunkach*, albowiem o zagadnieniu potrzeby lub zbędności takiego właśnie posunięcia jak dewaluacja można rozumować tylko „in concreto".

Dlatego też zwężamy — rozmyślnie — płaszczyznę naszego rozumowania. Nie będziemy np., mówiąc o plusach ewentualnej dewaluacji, zastanawiali się nad jej rolą w dziedzinie zadłużenia wewnętrznego. Nie będziemy dlatego, że w argumentach *zwolenników* dewaluacji w chwili obecnej moment ten stoi na bardzo dalekim planie. Gdybyśmy bowiem chcieli ustalić, jak wygląda w syntezie rozumowanie obecnych dewaluacjonistów, trzebaby było zwrócić uwagę na następujące dwie ich tezy zasadnicze:

a)w okresie zachwiania się równowagi bilansu płatniczego dewaluacja zwiększa prężność naszego wywozu towarowego, tworzy znaczniejsze saldo dodatnie w bilansie handlowym i przyczynia się temsamem do utrzymania równowagi bilansu płatniczego bez stosowania ku temu środków mechanicznych (ograniczenia dewizowe),

b) w okresie niepokoju wewnętrznego i spowodowanej nim tezauryzacji dewaluacja „wypędza" ztezauryzowane sumy przez sam fakt ziszczenia się przewidywań tezauryzującego, który już obecnie może z wszelką pewnością wkładać nieuszczuplony przez ztezauryzowanie swój majątek z powrotem do obrotu.

Niewątpliwie dwa te argumenty stanowią fundament rozumowania zwolenników dewaluacji. Zobaczmy, jak wyglądają one w świetle praktyki.

Czy dewaluacja może zwiększyć *wydatnie* nasz wywóz? Powiadamy: wydatnie, bo, oczywiście, nie chodzi nam o takie jej skutki w tej dziedzinie, jak nieco lepsze wykorzystanie kontyngentów przywozowych ustalonych traktatami handlowemi u naszych kontrahentów dla naszego wywozu, albo o zmniejszenie w tych czy innych artykułach premij wywozowych, co już wogóle na volumen wywozu nie wpływa. Otóż tutaj możemy sobie powiedzieć, że odcinek wywozowy, na który dewaluacja *może* wpłynąć, ogranicza się praktycznie do grupy północnych i północnozachodnich rynków europejskich t.j. krajów o zdewaluowanym pieniądzu, niestosujących ponadto żadnych lub prawie żadnych ograniczeń mechanicznych w zakresie przywozu. Ten odcinek stanowi w naszym ogólnym wywozie ok. 55% jego wartości (w 1935 r.) i jest — w naszem pojęciu przynajmniej — wykorzystany wywozowo nieomal całkowicie. Na ok. 520 milj. zł. ogólnej wartości naszego wywozu do tych krajów trzecią część stanowi rynek brytyjski, gdzie naogół utrzymujemy nasze pozycje a gdzie *znaczne* zwiększenie wywozu doprowadziłoby z konieczności do bardzo wydatnych ustępstw przywozowych na rzecz W. Brytanji ,ustępstw, mających nietylko za skutek zniwelowanie w dużej mierze nowopowstałego dodatku do salda dodatniego w bilansie handlowym ale również i poważne trudności dla naszego przemysłu (m.in. i włókienniczego, co się szczególnie poleca uwadze publicystom „Polityki Gospodarczej"...). Dalszą wielką pozycją w wywozie na rynki „wolne" jest węgiel do

krajów skandynawskich i bałtyckich, gdzie również wykorzystujemy przy dużych wysiłkach wszystkie nasze możliwości (ograniczone układami wszystkich tych krajów z W. Brytanją). Przechodząc kolejno wszystkie większe pozycje wywozowe do tych krajów, gdzie konkurencyjność naszego wywozu w obecnych warunkach mogłaby dać rezultaty, stwierdzić musimy, iż możliwości w kierunku znacznego zwiększenia wywozu tego są niewielkie.

W stosunku do krajów, z któremi łączą nas umowy clearginowe, a które odebrały w r.ub. ok. 21% naszego wywozu, możliwości tych ,oczywiście, wcale niema. Bez względu na to, jaki byłby kurs złotego, obroty z krajami temi *muszą* wyrównywać się automatycznie w stosunku 1 do 1. Pozostaje jeszcze dwadzieścia kilka procent naszego wywozu lokowanego bądź w krajach o walucie złotej — bądź w krajach zamorskich. Wywóz do pierwszych z nich ograniczony jest silnie systemem kontygentów przywozowych, niwelujących niemal wszelkie próby zwiększenia go przy pomocy obniżenia wartości złotego. Wywóz zamorski zależy w olbrzymiej mierze od organizacji i stosunków handlowych, których w zbyt wielkiej mierze nie posiadamy. Nie można sobie wyobrazić, aby przy potanieniu naszej produkcji w złocie (zakładamy, że ceny wewnętrzne nie pójdą równocześnie z dewaluacją wgórę albo przynajmniej że pójdą one wolniej i nie pokryją całej marży dewaluacyjnej) ruszyłby odrazu nasz wywóz do Ekwadoru, Chile czy Japonji, gdzie inne kraje latami i dziesiątkami lat zdobywały teren. I na ten odcinek naszego wywozu zatem liczyć nie możemy.

Ten nieco przydługi może wywód doprowadza nas do stwierdzenia, że w *obecnych warunkach* dewaluacja złotego wydatnie na rozmiary naszego wywozu nie wpłynęłaby. Argument dewaluacyjny w tym punkcie „trąci myszką". W okresie pełnej swobody obrotów był on słuszny i nieraz stwierdzany. Co więcej, kraj o wywozie „światowym" (jak np. Wielka Brytanja) może i w obecnych warunkach go potwierdzać. Wywóz brytyjski po dewaluacji funta wzrasta, jakkolwiek — dodać trzeba — wspiera go nietylko sam fakt zwiększonej konkurencyjności (ceny brytyjskie poszły w górę tylko w nieznacznej mierze) ale i solidne podmurowanie polityczno - traktatowe, możliwe nb. przy tak wielkim wewnętrznym rynku zbytu dla obcych towarów, jakim jest sama Wielka Brytanja. Dla *naszych* warunków subjektywnych i w *naszej* sytuacji objektywnej wszystkie te wnioski wypadają — negatywnie.

Cóż z drugim argumentem dewaluacyjnym — uderzeniem w tezauryzację? Wydaje nam się, że polega on na pewnej niekompletności rozumowania. Oczywiście — dewaluacja może bardzo szybko wyrzucić dużą część sum ztezauryzowanych z powrotem do obrotu. Ale czy *tylko* dewaluacja może to uczynić? Niewątpliwie — nie. Albowiem utrwalające się coraz to bardziej przeświadczenie, że reglamentacja dewizowa wpływa korzystnie na stałość złotego, oddziała na tezauryzację *tak samo* jak dewaluacja. Jeśli więc chodzi o ten moment, to argument dewaluacyjny jest poprostu — niepełny w swem sformułowaniu.

*

To jednak nie jest wszystko. Niedość powiedzieć, że dewaluacja nie powiększy w znaczniejszym stopniu wywozu i że i bez niej można zwalczyć tezauryzację. Kapitalnem zagadnieniem, naszem zdaniem, jest odpowiedź na pytanie, czy dewaluacja jest w chwili obecnej w warunkach polskich *niezbędnie potrzebna?* Bo, gdyby tak było, należałoby przejść ponad naszemi poprzedniemi zastrzeżeniami do porządku dziennego — i istotnie dewaluować. Zajmijmy się teraz tą sprawą.

Kiedy *należy* dewaluować? Rozumiemy przez to pytanie taki stan rzeczy, kiedy wszystkie znane *ujemne* skutki dewaluacji w każdym kraju *muszą ustąpić* przed jakąś nieodpartą koniecznością zzewnątrz. Konieczność ta, naszem zdaniem, zachodzi wówczas, gdy poziom cen w złocie w danym kraju poczyna wyraźnie stawać się wyższy niż takiż poziom zagranicą, gdy — co więcej — różnica ta nie ma szans na zniknięcie w bliskiej przyszłości, a dany kraj nie może czy nie chce użyć *innych* środków dla jej zniwelowania. Dlatego też zagadnienie dewaluacji stanęło przed nami wyraźnie w 1931 a właściwie w 1932-im roku, kiedy poziom cen w złocie szeregu krajów, obejmujących powyżej 35% handlu światowego, odchylił się znacznie wdół od naszego poziomu naskutek dewaluacji funta. Dewaluacja dolara rozszerzyła ten zasięg jeszcze bardziej. Niemniej jednak nie zdewaluowaliśmy — i mieliśmy potemu słuszne powody. Uznaliśmy wówczas widocznie, że dodatnie skutki ewentualnej dewaluacji nie wyrównają tych ujemnych konsekwencyj, jakie dewaluacja taka w Polsce — i właśnie w Polsce musi sprowadzić. Bilans „pro" i „contra" wypadł wówczas przeciwko dewaluacji — zwłaszcza, że mieliśmy w zanadrzu widoki dużego „nadrobienia" powstałej różnicy w poziomach cen przez naszą politykę deflacyjną. I istotnie — ceny w Polsce spadały w dalszym ciągu.

Jaka jest sytuacja obecna? Ceny światowe niewątpliwie *idą w górę*. Zwłaszcza, rzecz prosta, ceny te rosną w krajach, które zdewaluowały. Ogólny indeks cen światowych w złocie (według berlińskiego urzędu statystycznego przy podstawie przeciętnej cen 1925 — 1929 = 100) miał swoje „dno" w 1934 r. przy 35,8, w 1935 r. — podniósł się do przeciętnej 36,4 a w pierwszym kwartale r. b. wynosił 37,9. To — w skali światowej. Jeśli teraz chodzi o poszczególne kraje, to faktem jest, iż brytyjski indeks cen wzrósł z 63 w 1932 r. do 68 w r. ub. a do 71 w pierwszych czterech miesiącach r. b., szwedzki ze 104 w 1934 r. do 116 w 1935-ym i do 118 w pierwszym kwartale r. b., Stanów Zjednoczonych — z 65 w 1932 r. do 80 w 1935 r. (uwzględniając jednak zaszłą w międzyczasie dewaluację dolara) i t. d. i t. d. Krótko mówiąc, znajdujemy się w fazie wyraźnej *zwyżki* cen zagranicznych.

Jaki stąd dla nas wniosek? Widzimy go w dwuch aspektach. Z jednej strony słuszne jest niewątpliwie to, co ostatnio podniósł był prof. Młynarski, twierdząc, iż niewiadomo właściwie *o ile* dewaluować, gdyby się chciało *w tej chwili* przy pomocy dewaluacji uchwycić równowagę naszego i zagranicznego poziomu cen. Poziom, na który mamy równać, jest przecież *ruchomy*. Ale nie dość na tem. Wydaje się nam, iż, o ile przed pięcioma czy czterema laty moglibyśmy

sobie powiedzieć: „rezygnujemy z polityki deflacyjnej wogóle — i dewaluujemy wślad za Anglją“, to obecnie tego rodzaju ofiara jest w gruncie rzeczy *prawdopodobnie* zupełnie zbędna. Ceny światowe przez swój wzrost zbliżają się do naszego poziomu, niwelując *same* tę rozpiętość, jaką chcielibyśmy zniwelować przez dewaluację. Jeszcze pewien czas — a zrównają się z naszym poziomem. Potrzeba do tego tylko dwuch warunków.

Jakich? Popierwsze — aby przez ten czas bilans płatniczy Polski nie uległ załamaniu i aby złoty naskutek tego *nie zdeprecjonował się*. To zależeć będzie od ostrości i dobrego funkcjonowania reglamentacji dewizowej — pojmowanej w tym przekroju wyłącznie, oczywiście, jako element polityki konjunkturalnej, a więc tak jak prawdopodobnie rząd ją pojmuje. Podrugie — aby nasz poziom cen nie uległ naskutek wspomnianej reglamentacji zwyżce, gdyż wówczas wzrastający poziom cen światowych gotów nas szybko nie „złapać“. I jedno i drugie leży — naszem zdaniem — w granicach możliwości polityki gospodarczej chwili obecnej.

Dlatego też powtarzamy: jesteśmy przeciwni dewalucji jako w tej chwili *objektywnie nieuzasadnionej*. Zdajemy sobie sprawę, iż z punktu widzenia wewnętrznego jest ona zawsze — a szczególnie w Polsce — wielkiem złem, którego za wszelką cenę należy unikać (powoływanie się na przykład brytyjski jest śmieszne, zważywszy, iż Anglja w dużej mierze *naprawdę nie zdewaluowała*, a pozwoliła tylko, jak mawiają anglicy, aby „inne waluty poszły wgórę*). To zło może być w pewnych wypadkach konieczne, ale w tej chwili napewno niem *nie jest*. Gdybyśmy go użyli, korzyści żadnych nie uzyskamy, poderwiemy ostatecznie zaufanie wewnętrzne do waluty na przeciąg jednego pokolenia i, co najgorsze, będziemy świadkami, jak po kilku miesiącach okaże się, że ceny nasze muszą *doganiać* poziom cen światowych zamiast spokojnie na ceny te oczekiwać „na dzisiejszych swych pozycjach“.

*) Mamy tu na myśli przedewszystkiem fakt, iż jednocześnie z dewalucją funta w Anglji zdewaluował się on jako waluta światowa, jako waluta, w której Anglja płaci za importowane surowce, za przewozy na swoich własnych statkach i t. d.

U W A G I

INICJATYWA PRYWATNA CZY INDYWIDUALNA

„Człowiek zwykł sądzić, kiedy słów jedynie słucha, że przy tem by się pomyśleć także coś dało“. W dyskusjach na tematy programowe i ustrojowe rozbrzmiewa bezustannie słowo „inicjatywa prywatna“. *Inicjatywa* to znaczy zapoczątkowanie jakiegoś działania, *prywatna* jest to dodatek, nie mający charakteru pozytywnego; potrzebny jest on tylko jako przeciwstawienie do inicjatywy organów publicznych. W istocie rzeczy inicjatywę tworzy wszędzie i zawsze *człowiek*. Formy życia zbiorowego mogą sprzyjać powstawaniu inicjatywy i jej realizowaniu się lub nie. Nie ulega wątpliwości, że tylko te formy ustrojowe mają gwarancję rozwoju, które zapewniają warunki powstawania i realizowania się każdej twórczej inicjatywy, indywidualnej lub zbiorowej. Zwolennicy inicjatywy prywatnej chcą dowieść, że twórcza inicjatywa gospodarcza ma najlepsze warunki do powstawania i realizacji w ramach form prywatnej własności. Sąd ten opiera się na wynikach europejskiej gospodarki w XIX wieku, ale pomija jedną bardzo ważną okoliczność, a mianowicie, że forma własności prywatnej pokrywała się wówczas z własnością indywidualną i że skutkiem tego indywidualny właściciel miał pełną swobodę inicjatywy oraz ponosił pełną za tę inicjatywę odpowiedzialność. Powstawanie form własności zbiorowej ogranicza możność inicjatywy. Już prosta spółka wiąże swobodę działania poszczególnych wspólników. Spółka akcyjna posuwa ten proces jeszcze dalej, odrywa bowiem jeśli nie prawo jeszcze, to możność inicjatywy, od własności. Kartel zaś wiąże prywatną inicjatywę indywidualną już w formie prawnej bo w drodze umowy, zaopatrzonej często w sankcje. Jest to zatem dobrowolne samoograniczenie się inicjatywy prywatnej. Ingerencja państwa może stworzyć przymus prawny, różnica jednak jest tylko formalna — skutki bowiem—ograniczenie inicjatywy prywatnej — są te same. Inne jednak zwykle bywają motywy i cele. Prywatna gospodarka związana zachowuje tylko prawną formę inicjatywy prywatnej ale pola rozwoju inicjatywy indywidualnej nie daje. W dążeniu zaś do rozwoju gospodarczego sens i cel ma jedynie zapewnienie jaknajwiększej możności powstawania i realizowania się inicjatywy indywidualnej. Powstaje zatem pytanie, z jakich pobudek powstaje inicjatywa indywidualna, jakie są warunki dla jej realizowania się, i czy gospodarka zbiorowa, związana i koordynowana w istocie swojej nie może stwarzać bodźców i zapewniać warunków realizacji inicjatywie indywidualnej?

Inicjatywa prywatna posiada nad inicjatywą organów publicznych tę „wyższość“, że kieruje się „motywem gospodarczym“, to znaczy motywem zysku. My nie chcemy tak poniżać ani człowieka ani epoki zdobywczego kapitalizmu, więc nie możemy zgodzić się z takiem twierdzeniem.

Błędem bowiem byłoby mniemać, że w warunkach kapitalistycznych inicjatywa rodzi się wyłącznie na tle dążenia do zysku. Bardzo możliwe, że gruntowna analiza zmusiłaby do przyjęcia tezy, że dążenie do zysku jest nawet jednym z mniej ważnych momentów, pobudzających człowieka gospodarującego do wysiłków. Bezpośredni związek, związek, który możnaby uznać za stosunek przyczynowości, dostrzec się daje dopóty tylko, dopóki zdobywanie zysku łączy się z za-

spakajaniem potrzeb. Wtedy wysiłek, inicjatywa są poprostu formą walki o byt. Wtedy natomiast, kiedy wygospodarowany zysk znacznie przekracza rozmiary potrzeb jednostki gospodarującej, kiedy w coraz większej mierze zużywany jest na podejmowanie dalszych procesów gospodarczych, a nie na konsumcję osobistą, rzekome dążenie do zysku staje się — jeśli chodzi o treść psychologiczną — formą ekspansji silnej jednostki. Oczywiście że motywacja bywa najrozmaitsza: od „troski o byt rodziny czy potomstwa", poprzez „dbałości o honor i rozwój firmy" do fordowskiej koncepcji service — służby społecznej, wykonywanej w ramach swego przedsiębiorstwa przyczem zysk jest sprawdzianem tylko, że się tę służbę przyzwoicie wykonywa. Rozwój tych form gospodarowania, w których czynnikiem decydującym staje się dysponent, a nie właściciel, jest źródłem dalszych dysproporcyj pomiędzy nakładem inicjatywy a momentem zysku.

Koncentracja ośrodków dyspozycji jest sama przez się ograniczaniem pola ekspansji inicjatywy indywidualnej do dość ciasnego grona osób. A że charakter inicjatywy i jej cele są zależne od środowiska i jego zainteresowań, to koncentracja dyspozycji w rękach kapitału finansowego nadaje właśnie „inicjatywie prywatnej" charakter dążenia wyłącznie do zysku. Przedsiębiorca-przemysłowiec ma zawsze jakieś inne cele — exemplum wyżej wspomniany Ford, który imputowanie mu zysku jako wyłącznego motywu działania uznał by zapewne za obrazę. Czysty motyw zysku jest bowiem cechą tej formy działalności gospodarczej, która się nazywa lokatą kapitałów. A Ford nie lokował kapitałów, bo nawet ich spoczątku nie miał; on tworzył nowy przemysł i tworzył kapitał.

Gdy w XIX wieku państwa podejmowały inicjatywę rozbudowy kolei i gwarantowały „inicjatywie prywatnej" zyski, to sporów o wartości obu inicjatyw nie było. Jeśli spór występuje, to szukajmy... nie kobiety tym razem, ale sprzeczności interesów. Nie w tem jest rzecz, że inicjatywa organów publicznych nie kieruje się motywem zysku, ale w tem, że odbiera zyski „inicjatywie prywatnej".

A kto to jest „inicjatywa prywatna"?

Treść tego pojęcia jest bardzo szeroka i bardzo różnorodna; sięga do spraw politycznych, społecznych i... kryminalnych. „Inicjatywa prywatna" to kapitał moralny stworzony ongiś przez indywidualnych przedsiębiorców, od którego nielegalni spadkobiercy strzygą dziś kupony, wykorzystując istniejący zamęt w pojęciach. Wartością twórczą „inicjatywa prywatna" nigdy nie była dlatego, że była „prywatna", ale dlatego, że była indywidualna. Inicjatywę indywidualną należy zachować. Jest na nią miejsce i w organach publicznych i w gospodarce koordynowanej. Jest na nią zawsze więcej miejsca tam, gdzie motyw zysku osobistego nie jest czynnikiem dominującym, gdzie skutki działania są widoczne bardziej bezpośrednio, a nie przez wykładnik finansowy — tak, np. inicjatywa twórcza łatwiej się rodzi w fabryce niż w banku, który dysponuje fabryką, lub w holdingu. Trzeba walczyć z „inicjatywą prywatną" o rozszerzenie pola dla inicjatywy indywidualnej.

z. sz.

UPRZEMYSŁOWIENIE

O uprzemysłowieniu Polski, o konieczności i warunkach tego procesu wydrukowano już wiele szpalt i wygłoszono już wiele przemówień. Jeżeli jednak znowu do tego tematu wracamy, to czynimy tak z dwuch powodów; primo ze względów objektywnych — temat jest tego wart, by się nim stale i wszechstronnie zajmować, a secundo ze względów subjektywnych — pod wrażeniem książki p. Józefa Poniatowskiego „Przeludnienie wsi i rolnictwa".

Na łamach prasy oceniono tę pracę jako coś, co treścią przekracza wąski stosunkowo tytuł. Powiedziano o niej, że jest programem gospodarczym, nietylko analizą struktury demograficznej wsi w Polsce współczesnej. Pogląd ten nieco odbiega od rzeczywistości, którą wyznaczył sam autor i której się ściśle trzymał. Najlepszym tego dowodem jest, iż zagadnienie, o którem chcemy mówić, zagadnienie uprzemysłowienia kraju potraktowane zostało *fragmentarycznie*, jako końcowy akord głębokiej i sumiennej pracy analitycznej nad przeludnieniem wsi i jego skutkami. Terapja czy wnioski programowe ujęte zostały w książce p. Poniatowskiego szkicowo, co w żadnym razie za ujmę poczytywane mu być nie może. Niemniej nawet szkic czy zarys, zrobiony ręką takiego ekonomisty, jak p. Poniatowskiego, może być bazą do rozważań na temat, co — zdaniem ekonomisty — czynić należy, aby przeludnienie wsi rozładować aby usunąć z rolnictwa conajmniej jedną trzecią „istniejącej w rolnictwie zdolności do pracy".

I autor i czytelnik są i będą zgodni, że ani neomaltuzjanizm, ani emigracja nie wyjdą poza paljatywy, przyczem pierwszy okaże swe skutki dopiero za lat kilkadziesiąt, a druga „może conajwyżej odegrać rolę czynnika łagodzącego". Istnieć przeto muszą inne metody, inne środki walki z przeludnieniem wsi i rolnictwa. Dla p. Poniatowskiego dwie metody są kardynalne: *zniżenie barjery celnej i zniesienie karteli.* Rozumowaniu temu, zwłaszcza, że p. P. nie rozumuje na wiatr, lecz uzbrojony w potężny materjał dowodowy, nie możnaby odmówić słuszności, gdyby nie zastrzeżenia dwojakiej natury: strukturalnej i konjunkturalnej. Bo czy można liczyć na zwalenie karteli, których gros opiera się o kapitał zagraniczny, którego współpracy p. P. się nie wyrzeka, oraz czy moment, w którym się obecnie znajdujemy (reglamentacja dewizowa i towarowa), nie jest zwiastunem dalej idących ograniczeń przywozowych, dalej idącej autarkji? — Nie kwestjonując słuszności rozumowania teoretycznego, nie możemy jednak zamknąć oczu na *praktyczne* rozwiązanie trudności, rozwiązanie, któremu program p. Poniatowskiego nie daje materjałów i narzędzi. Co więcej, program ten, skuteczny na dłuższą metę (jest to jego, niewątpliwie, zaleta), może się okazać bezsilny „rebus sic stantibus", na przestrzeni najbliższych lat kilku.

Autorowi nie są obce — przyznajemy sumiennie— jeszcze inne metody, ułatwiające uprzemysłowienie kraju. Mówi o nich krótko, lakonicznie. „Reforma ustroju rolnego i podniesienie kultury gospodarstw wiejskich... mogą doraźnie złagodzić położenie i przyczynić się do pewnego zwiększenia dochodu społecznego, ułatwiając uprzemysłowienie" (str. 238). Zgo-

dzi się jednak p. P. z nami, że reforma rolna — nie mówiąc o skutkach społecznych i politycznych — byłaby środkiem (na dzisiaj) daleko szybszym i pewniejszym od zniżenia stawek celnych w sposób, przez autora projektowany, a zapoznający przemożny wpływ aktualnego systemu konwencyj, kontyngentów i clearing'ów.

Są jeszcze inne środki i sposoby, sprzyjające uprzemysłowieniu. Autor ma tutaj na myśli przedewszystkiem „inwestycje, służące dalszemu ułatwianiu i usprawnianiu produkcji, a więc oświatę naukę, koleje, drogi, regulację rzek, reformę rolną we wszystkich zakresach (to powiedziane zostało znacznie mocniej, aniżeli w cytacie poprzedniej — przypisek nasz), meljoracje, ostrożnie przemyślane podstawy elektryfikacji"... (str. 226). Zgadzając się z autorem, wiemy dobrze, iż realizacja tych bezspornych postulatów zależy od dwuch czynników: czasu i pieniędzy (tych ostatnich nie możemy sobie wyobrazić na tle restrykcyj budżetowych, które długo jeszcze będą u nas obowiązywały).

Ale to już wszystko. I jednocześnie jakże niewiele. Wydaje się nam, że narzędzi do walki z przeludnieniem na wsi, a raczej z jego skutkami — nie mamy. Autor piszący swą książkę „sub specie aeternitatis", nam ich nie dostarczył. Trzeba ich szukać samemu.

Gdzie one są, skąd je wziąć? Życie wskazuje dwa źródła: gospodarkę prywatną i gospodarkę publiczną. O tem, że gospodarka prywatna zdolna jest dać materjał do industrjalizacji, wie również p. Poniatowski, skoro wskazuje na drobny i średni przemysł, na rzemiosło, przemysł ludowy i chałupnictwo. Rzecz prosta — wielki prywatny przemysł fabryczny, na którym możnaby bazować uprzemysłowienie kraju, przemysł, kierujący się racją stanu kapitału zagranicznego, zwłaszcza dzisiaj nie bardzo może wchodzić w rachubę. Nie bawiąc się w proroctwa, czy istotnie „z biegiem czasu przemysł fabryczny, uzdrowiony przez rozluźnienie więzów kartelowych, ochrony celnej, oczyszczony przez likwidację przedsiębiorstw niesprawnych, będzie w stanie wyeliminować z rynku liczne drobne zakłady, pewne gałęzie rzemiosła, a z czasem także znaczną część chałupnictwa i przemysłu domowego" (str. 237), należy stwierdzić, że chwila obecna (rzecz dzieje się przy słabym dopływie kredytów zagranicznych) sprzyja krajowemu t. zn. drobnemu przedsiębiorcy. Niedoceniane przez p. P. rzemiosło, które jak mało kto dysponuje szerokim wachlarzem zakresu i możliwości produkcyjnych, znajduje się dzisiaj w zwrotnym punkcie swego rozwoju, albowiem poprawa jego samopoczucia i coraz to silniejsze tendencje w kierunku zniesienia krępujących go ograniczeń prawnych pozwalają liczyć na to, że warsztaty rzemieślnicze wchłaniać będą nadmiar wolnych rąk roboczych wiejskich. Rola rzemiosła jest tem silniejsza, że w myśl słusznej konstatacji p. P. przemysł ludowy ma b. skromne perspektywy („możliwości produkcyjne przemysłu ludowego drzemią zazwyczaj wobec zupełnego braku zbytu i rozwijają się lokalnie i dorywczo..." (str. 234); jedynie na obszarze Ziem Wschodnich przemysł ten może i musi liczyć na większe powodzenie. Co się zaś tyczy chałupnictwa, to jest ono i będzie jeszcze długi czas „bracchium seculare" tak rzemiosła, jak i przemysłu fabrycznego; mając niezdrową strukturę socjalną, jest ono dobrodziejstwem, bo daje setkom tysięcy ludzi możność utrzymania się lub dodatkowego zarobku. Zniknie ono nieprędko, „w miarę poprawy warunków na rynku pracy" (str. 239), t .zn. pod wpływem „rosnącej produkcji wszelkiej wielkości zakładów przemysłowych i rzemieślniczych" (str. 234).

Nie wyobrażamy sobie jednak pełnego powodzenia industrjalizacji kraju poprzez wysiłek drobnej i średniej gospodarki prywatnej bez pomocy czynnika *publicznego.* Ale nie chodzi tutaj jedynie o kredyty, ulgi podatkowe, dostawy i roboty etc. Punkt ciężkości zdaje się leżeć gdzieindziej: w *gospodarczej działalności państwa.* Nie wyobrażamy sobie właśnie w *polskich* warunkach, by państwo mogło nie współdziałać z drobnym i średnim przemysłem w akcji uprzemysłowienia kraju. Nie rozumiemy, jak może nastąpić ożywienie na odcinku tegoż przemysłu, jeśli państwo nie dostarczy pracy masom ludzi, nie będących dzisiaj konsumentami. Stworzenie konsumenta jest to jednorazowe, a całkowicie wystarczające „nakręcenie konjunktury" (przepraszamy za niewłaściwe wyrażenie): zatrudnienie bezrobotnych miast i *zwłaszcza* wsi daje możność obudzenia drzemiącej dzisiaj siły nabywczej. Siła nabywcza będzie skolei tym bodźcem, który pobudzić powinien rzemiosło oraz drobny i średni przemysł fabryczny, te zaś będą mogły stopniowo wchłaniać tych dzisiejszych bezrobotnych miejskich, którzy rekrutują się z robotników wykwalifikowanych, wyspecjalizowanych i droższych. A ponieważ szczupłość środków, będących do dyspozycji państwa, każe ich używać oszczędnie, więc inwestycje publiczne powinny iść drogą przedewszystkiem wykorzystania nadmiaru wolnych sił *na wsi;* „prosperity" wiejska z lat 1927—29 płynęła w b. dużym stopniu stąd, że małorolny dorabiał w fabrykach i warsztatach miejskich (nie mamy tu na myśli miast wielkich). Jeżeli słuszne jest przysłowie, że „hat der Bauer Geld — hat die ganze Welt", to w naszych warunkach ów „Geld" płynął przedewszystkiem z zarobków chłopa nie jako rolnika, lecz jako *małomiasteczkowego robotnika czy rzemieślnika.* „Jeżeli się uda na wielką skalę połączyć pracę na roli z pracą przetwórczą, czy to w fabryce, czy w cudzym albo własnym warsztacie" — pisze p. Poniatowski (str. 276), wówczas — dodajmy od siebie — uzyskamy te dodatkowe środki, które zostaną w następstwie zużyte na kupno maszyn i narzędzi rolnych, nawozów sztucznych, sprzężaju, na budowę domów na meljoracje rolne, a wreszcie na artykuły konsumcji osobistej. W okolicach podmiejskich te ostatnie wysuną się nawet na plan pierwszy, z czego bezpośrednią korzyść odniosą przemysły i rzemiosła, wytwarzające dobra konsumcyjne.

Nie twierdzimy, by nasze uwagi były „panaceum" na dzisiejszy niedorozwój przemysłu w Polsce. Sądzimy jednak, że tak jak obecnie rzeczy stoją, nie można problemu uprzemysłowienia kraju odkładać do chwili, aż zaistnieją warunki idealnego spokoju, regulowane automatyzmem procesów gospodarczych. —

K. Brodnicki.

REWIZJA

Zwolennicy metody chowania głowy w piasek, cynicy polityczni, pesymiści zawodowi, skłonni są dowodzić, że zjawisko — niesporne chyba dla nikogo w Polsce — zjawisko radykalizacji mas jest przejściowym fermentem, wywołanym trwałością i głębią kryzysu. Ta djagnoza rodzi u jednych nadzieję u innych obawę, że z poprawą konjunktury rozładuje się napięcie, że, używając formuły jednych, spokój społeczny nie zostanie niczem naruszony, a używając formuły drugich, że bierność świata pracy nie ulegnie zmianie. Łatwiej jest pragnąć, niż wróżyć. Słuszniej jest pragnąć niż wróżyć. Dlatego też nie zajmujemy się wróżbami. Należy natomiast stwierdzić, że aktywność szerokich mas społeczeństwa możliwa jest tylko wtedy, kiedy znaleziona zostanie właściwa formuła dla krystalizacji opinji i wysiłku.

Naturalne przodownictwo, naturalna rola organizatorów szerokiej opinji przypada zawsze, a tem bardziej po okresie wyjątkowo ostrego i długotrwałego kryzysu temu odłamowi, który szczególnie akcentuje moment sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Odłam ten reprezentowany jest we wszystkich ugrupowaniach politycznych, nietylko w kierunkach pro-rządowych, nietylko w umiarkowanej i nieumiarkowanej lewicy, ale ostatnio i w kołach młodszych nacjonalistów. W lwiej części ugrupowania te wywodzą się historycznie z przedwojennego obozu postępowego i socjalistycznego, jakkolwiek dziś już bardzo daleko od niego odbiegły. Ta historyczna filjacja tłomaczy też zapewne dlaczego ośrodkiem zainteresowania większości ugrupowań i organizacyj, uważanych za wykładnik „świata pracy", źrenicą oka ich programu, zagadnieniem sztandarowem, odsuwającem w cień inne problemy, jest od lat t. zw. polityka społeczna.

Pozornie zaprzecza temu twierdzeniu fakt, że naczelnem hasłem obozu, a raczej zespołu walczących zresztą między sobą ugrupowań, które na czołowem miejscu swych celów umieszczają troskę o interesy warstw ekonomicznie słabszych — stało się ostatnio hasło zerwania z deflacją i nakręcania konjunktury. Zaprzecza tylko pozornie. Nakręcanie konjunktury ma pewne konsekwencje natury strukturalnej. Nie przesądza jednak kształtowania się podziału dochodu społecznego, no, a przedewszystkiem jest hasłem na krótką metę. Po wygaśnięciu tego hasła trzeba będzie wrócić do innych, trwalszych.

Nie chcę bynajmniej negować znaczenia tych spraw, które tradycyjnie stanowią trzon, ośrodek t. zw. polityki społecznej w Polsce. Niewątpliwie zagadnienie ubezpieczeń społecznych, ochrony pracy, zagadnienie płac zorganizowanych pracowników najemnych (umowy zbiorowe), same w sobie są problemami o pierwszorzędnem znaczeniu. Niewątpliwie prądy, zmierzające do ochrony interesów warstw ekonomicznie słabszych, nie mogą pominąć tych problemów muszą domagać się regulowania ich poprzez ingerencję Państwa, itd. itd. Sądzę natomiast, że wielkim błędem jest wysuwanie tych spraw tak daleko na czoło, że stają się one bezmała jedynym rzeczowym postulatem ugrupowań, reprezentujących interesy świata pracy. Taki kierunek działania jest w pełni zgodny... z zachodnio-europejskiemi wzorami. W krajach o stosunkowo wysokim poziomie życia warstwy pracowników najemnych, w krajach o stosunkowo ustabilizowanej polityce gospodarczej, w krajach, gdzie bezrobocie aż do czasu ostatniego kryzysu występowało w skali masowej tylko jako zjawisko przejściowe konjunkturalne, w krajach, gdzie pojęcie warstwy ekonomicznie słabej pokrywało się i pokrywa z pojęciem robotnika przemysłowego, a mówiąc prościej w zasobnych krajach Europy zachodniej, praktycznem zadaniem świata pracy były i być musiały te właśnie zagadnienia, które stanowią konsekwencjonalny trzon polityki społecznej. W ramach tych zagadnień dokonywano małych retuszów, niewielkich dodatkowych przesunięć w rozdziale dochodu społecznego, poprawiano (i tak niezłą w porównaniu z Polską) sytuacja pracownika najemnego, żyjącego — przed kryzysem obecnym — w zasadzie bez troski o zdobycie pracy.

Stwierdzić należy z całym naciskiem, że w warunkach polskiej rzeczywistości nacisk na tę grupę zagadnień przy pominięciu innych, ostrzejszych i pilniejszych problemów, jest błędem. Powtarzam raz jeszcze, nie dlatego, ażeby sprawy te nie były doniosłe, nie dlatego, ażeby można było uznać za słuszne rozumowanie, które zmierza do tego, by na tle polskiej nędzy wszelki wysiłek w kierunku poprawienia sytuacji mas przedstawiać jako przypinanie kwiatka do kożucha. Sądzę natomiast, że zapatrzenie w te sprawy jest jedną z przyczyn ujemnego wysoce zjawiska, jakiem jest to, że przez t. zw. uspołeczniony odłam opinji nie zostały dostrzeżone dwa fakty o podstawowym znaczeniu: że współczesna polityka gospodarcza w drodze szeregu posunięć o charakterze w zasadzie czysto gospodarczym, powoduje grubo większe przesunięcia w rozdziale dochodu społecznego pomiędzy warstwy ekonomicznie słabsze i silniejsze grubo większe, od tych przesunięć, do jakich zdolna jest „polityka społeczna", i że w warunkach polskich przyjęcie za wyłączny przedmiot troski zorganizowanych pracowników najemnych równa się pozostawieniu poza nawiasem zainteresowania tych, którzy stanowią element naprawdę najsłabszy — to znaczy niezorganizowanych chałupników, sproletaryzowanego rzemiosła, a przedewszystkiem strukturalnych bezrobotnych, z kategorji „wiejskiego przeludnienia".

Na tle tej jednostronności wyrósł cały szereg paradoksów w bieżącej polityce. Jednym z nich może być chociażby zestawienie poziomu świadczeń emerytalnych w ubezpieczeniu pracowników umysłowych z niesłychanie wąską rozbudową zabezpieczenia na rzecz bezrobocia. Pomijając jednak szereg przykładów podobnych dysproporcji, należy zwrócić uwagę na najważniejszy chyba problem. Problem, o którym w feljetonowej formie pisano ostatnio na łamach Wiadomości Literackich, zwracając uwagę na to, że zrzeszenia i partje, stojące na gruncie klasowo-robotniczym, stają się reprezentantkami... arystokracji robotniczej, że pewnego pięknego dnia zamiast być ośrodkami dążeń do realizowania ideału sprawiedliwości społecznej, mogą się okazać obrońcami stanu posiadania zdobytego przez tych, którzy „zdążyli wsiąść do przepełnionego pociągu".

Wyjście ze ślepej uliczki, o której mowa wyżej, leży jak sądzę na drodze przełamania konwencjonalnego podziału problemów na „politykę społeczną" i „politykę gospodarczą" na zbudowaniu jednolitej hierarchji celów, uwzględniającej równorzędne zadania społeczne, jak i gospodarcze. Ten temat jest jednak zbyt szeroki by omówić go w ramach „uwagi", której celem jest tylko zasygnalizowanie danego zjawiska.

c. k.

JÓZEF GWACKI

HODOWLA STANU TRZECIEGO (część II)

Problemy kwalifikacyjne.

O poziomie produkcji decydują: 1) środki techniczne, 2) organizacja pracy, 3) kwalifikacje zawodowe pracowników i kierowników przedsiębiorstw.

Średniowieczne prawo korporacyjne reglamentowało w sposób szczegółowy wszystkie trzy czynniki produkcji. Współczesny system reglamentacji rzemiosła ogranicza się wyłącznie do dowodu uzdolnienia zawodowego, czyli do kwalifikacyj czynnika „ludzkiego". W ramach tego systemu niema mowy o bezpośredniem normowaniu urządzeń technicznych i metod pracy. Kwalifikacje zawodowe są jednak związane wzajemną zależnością funkcjonalną z pozostałemi czynnikami produkcji.

Tradycyjne metody pracy rzemieślniczej wymagają znacznej biegłości i wprawy ręcznej we wszystkich czynnościach, wchodzących w skład danego rzemiosła. Rutyna zawodowa nabyta w czasie kilkuletniego terminowania i dłuższej praktyki czeladniczej gwarantuje solidność i dokładność wykonania. Tradycyjny schemat wyszkolenia rzemieślniczego jest jednolity i jednakowy dla wszystkich rzemiosł. Przy niezmiennym, „statycznym" stanie techniki rzemieślniczej osiągnięty stopień rutyny zawodowej decyduje całkowicie o kwalifikacjach pracownika.

Modernizacja metod pracy rzemieślniczej nie mieści się w ramach jednolitego szablonu kwalifikacyjnego i redukuje dominujące dotychczas znaczenie rutyny zawodowej.

W niektórych rzemiosłach postęp polega na wprowadzeniu obrabiarek, specjalnych narzędzi w postaci skomplikowanych uchwytów, szablonów, sprawdzianów i t. p. Zmechanizowane, udoskonalone narzędzia wyręczają rzemieślnika, o ile chodzi o dokładność i precyzję wykonania. Od pracownika wymaga się przedewszystkiem pewnego stopnia inteligencji ogólnej, umiejętności posługiwania się różnorodnemi mechanizmami i znajomości choćby elementarnej technologji. Tradycyjny termin musi być uzupełniony nauką w szkole dokształcającej lub na kursach zawodowych. Przymusowe dokształcanie zawodowe zostało wprowadzone ustawą z 1924 r., zupełnie niezależnie od później wydanej ustawy przemysłowej. Co do rozwoju szkolnictwa zawodowego, po wejściu w życie ustawy przemysłowej warto zaznaczyć, że między r. 1930/31 a 1933/34 liczba szkół dokształcających zmniejszyła się o 16%, uczniów zaś o 30%. W tym samym czasie liczba szkół zawodowych typu normalnego zmniejszyła się o 2,5%, a uczniów o 10%. Rygory ustawy przemysłowej nie wywarły żadnego wpływu na faktyczny rozwój oświaty zawodowej.

Modernizacja urządzenia technicznego idzie często w parze z specjalizacją produkcji. Prof. E. T. Geisler („Podstawy osiągnięcia dochodowości w małych przedsiębiorstwach przemysłu metalowego") mówi o konieczności specjalizacji. „Warsztat, który gotów jest podjąć się wszelkiej roboty, nie wykonywa nic porządnie, na wszystko zużyje zbyt dużo czasu, będzie pracował powolniej, gorzej i drożej od warsztatów wyspecjalizowanych, najczęściej ze stratą. To też jeżeli właściciel warsztatu chce, aby zakład jego dobrze prosperował... — powinien przedewszystkiem starać się specjalizować, t. j. wybrać sobie parę artykułów, które w tym warsztacie są dobrze, prędko, a zatem i tanio wykonane i ograniczać się, o ile to jest tylko możliwe, do tych wybranych przedmiotów, wykonywując jak najmniej odmian, zato jak najwięcej sztuk jednakowych równocześnie z każdej odmiany". W warsztacie wyspecjalizowanym terminator nie ma możności ani sposobności opanować całokształtu danego rzemiosła. Dowód uzdolnienia zaś „ex definitione" obejmuje całokształt rzemiosła. Dzielenie zawodu na gałęzie i wprowadzanie dowodu uzdolnienia na poszczególne specjalności jest absurdem, bo dopiero w trakcie prowadzenia warsztatu właściciel może się zorjentować w wyborze zakresu produkcji, najlepiej odpowiadającego możliwościom zbytu.

W innych rzemiosłach postęp polega na wprowadzeniu ścisłego podziału pracy w ramach jednego warsztatu. Fachowe czasopismo krawieckie „Nowa Odzież" (Nr. 2 z r. 1936) twierdzi, że „racjonalizacja warsztatu łączy się ściśle z podziałem pracy... przemysł konfekcyjny nie inaczej, jak tylko temi oto sposobami potrafił utrzymać i rozwijać swój stan posiadania... jeden pracownik wyłącznie kroi, drugi — wyłącznie szyje na maszynie, inny — wykańcza dziurki i przyszywa guziki i t. d.". A dalej: „gdy ta sama osoba musi wykonać wszystko, co wchodzi w zakres całokształtu prac danego warsztatu... wykonanie szwankuje, idzie niesprawnie, a przedewszystkiem jest zbyt drogie". Przy takim podziale pracy odpada oczywiście nieodzowność odbycia prawidłowego terminu i złożenia egzaminu czeladniczego, celem wykazania wprawy i biegłości we wszystkich pracach odnośnego rzemiosła, jak tego wymaga ustawa przemysłowa.

Specjalizacja nie może być traktowana jako uniwersalna recepta. Ze względu na lepsze wykorzystanie urządzenia i surowców oraz ze względu na lepszą, bardziej wszechstronną obsługę klijenteli przedsiębiorca może być zmuszony do rozszerzenia produkcji na rzemiosła pokrewne, co zresztą da się pogodzić z daleko idącym, wewnętrznym podziałem pracy. Na przeszkodzie takiej ekspansji stoi dowód uzdolnienia zawodowego. Rozgraniczenie między poszczególnemi rzemiosłami jest podstawą dowodu uzdolnienia, wolno bowiem wykonywać tylko to rzemiosło, na które opiewa dowód uzdolnienia.

Są wreszcie rzemiosła, szczególnie podatne na wpływy mody, stojące całkowicie pod znakiem „nowości". Tu rutyna zawodowa jest nietylko zbędną, lecz wręcz szkodliwą. Rzemieślnik powinien posiadać zmysł artystyczny, poczucie smaku, skłonność do inowacji.

Różnorodne są drogi postępu w rzemiośle. Żadna z nich nie leży na linji tradycyjnego dowodu uzdolnienia.

Tyle o kwalifikacjach bezpośrednich wykonawców. „Clou“ jednak systemu reglamentacji rzemiosła tkwi w selekcji przedsiębiorcy.

Modernizacja rzemiosła, jego techniczna i gospodarcza aktywizacja wymaga od przedsiębiorcy rzutkości, inicjatywy, zmysłu kupieckiego. Ten najważniejszy kompleks uzdolnień, („Geschäftstüchtigkeit“, jak go niemcy nazywają) nie da się w żaden sposób skontrolować w trybie egzaminacyjnym, który nie zastąpi sprawdzianu życiowego. Samorząd rzemieślniczy utworzył biura organizacyjno-handlowe rzemiosła. Agendy tej nie powierzono dyplomowanym majstrom, a nawet niekoniecznie ludziom posiadającym wyższe wykształcenie techniczne. Jeżeli można bez specjalnych umiejętności technicznych, potrzebnych bezpośrednim wykonawcom — organizować setki warsztatów, to chyba można też z co najmniej równem powodzeniem prowadzić jeden warsztat rzemieślniczy.

W obronie dowodu uzdolnienia zawodowego najciekawszym argumentem jest argument „poznański“. W b. zaborze pruskim rzemiosło osiągnęło najwyższy poziom, a zatem należy w drodze przymusowej reglamentacji dążyć do podciągnięcia rzemiosła z innych dzielnic do tego poziomu. Argument ten prawdopodobnie został obliczony na krótką pamięć opinji społecznej. Wysoki swój poziom osiągnęło rzemiosło poznańskie jeszcze przed rokiem 1927. Do tego czasu w b. zaborze pruskim obowiązywała ustawa niemiecka, która znała tylko t. zw. mały dowód uzdolnienia (przy kształceniu terminatorów), i nie wymagała żadnego dowodu uzdolnienia przy samoistnem wykonywaniu rzemiosła. Przed r. 1927 w b. zaborze pruskim odsetek mistrzów i czeladników dyplomowanych był większy, niż obecnie w innych dzielnicach. Ustawa austrjacka, która obowiązywała w Małopolsce była oparta na właściwym dowodzie uzdolnienia. Najbardziej rygorystyczna była ustawa rosyjska faktycznie obowiązująca na Kresach Wschodnich jeszcze w pierwszem dziesięcioleciu XX wieku. W byłym zaborze pruskim, właśnie przy stosunkowo najbardziej liberalnej ustawie rzemiosło osiągnęło najwyższy poziom zawodowy, a nawet najbardziej się zbliżyło do formalnego ideału rzemieślniczego (liczba czeladników i mistrzów dyplomowanych). Rygory policyjne nie rozwiązują problemów kwalifikacyjnych rzemiosła, nawet w tradycyjnem i formalnem ich ujęciu.

W końcu należy się zastanowić nad sytuacją, jaka wytwarza się przez rozszerzenie listy rzemiosł t. zn. przez rozciągnięcie systemu reglamentacji rzemiosła na zawody, w których dotychczas nie była znana średniowieczna hierachja zawodowa z podziałem na mistrzów, czeladników i terminatorów. Prowadzący samoistnie przemysł w momencie zaliczenia tego przemysłu do rzemiosła korzystają z praw nabytych. Ale jak może uzyskać uprawnienie przemysłowe osoba, która jest zatrudniona od dłuższego czasu w danem rzemiośle, ale usamodzielnić się zamierza dopiero w przyszłości? Trzeba przedłożyć dowód uzdolnienia zawodowego. Świadectwa złożenia egzaminu czeladniczego kandydat jednak nie jest w możności przedstawić z tej przyczyny, że dane rzemiosło należało dotąd do przemysłu wolnego, przy którym egzaminy czeladnicze nie obowiązywały. Chcąc zatem uzyskać kartę rzemieślniczą kandydat musi wpierw złożyć egzamin czeladniczy, a po złożeniu egzaminu praktykować przynajmniej 3 lata. Nie można jednak przystąpić do złożenia egzaminu czeladniczego bez wykazania się kilkuletnią nauką danego rzemiosła. Długoletni pracownik musi zatem rozpocząć naukę, następnie złożyć egzamin, a potem praktykować conajmniej przez 3 lata. Uczyć się rzemiosła należy u mistrzów, a mistrzów w „nowych“ rzemiosłach niema. W rzemiosłach tych właściwie nie można nawet utworzyć komisyj egzaminacyjnych, bo w skład tych komisyj powinni wchodzić mistrzowie lub czeladnicy dyplomowani. W „nowych rzemiosłach“ problemy kwalifikacyjne są wogóle nierozwiązalne bez pomocy fikcji w postaci „przejściowych“ egzaminów mistrzowskich lub surogatów w postaci egzaminów „kwalifikacyjnych“ nieprzewidzianych zupełnie w ustawie przemysłowej. Tu tkwi zasadnicza przeszkoda na drodze do ekspansji systemu reglamentacji rzemieślniczej na nowe zawody i objęcia tym systemem całego przemysłu drobnego. System ten może być rozszerzony tylko na papierze. Świadczą o tem dzieje brukarstwa, chemicznego czyszczenia i farbowania, zaliczonych do rzemiosła w r. 1933.

Zagadnienia techniczne i gospodarcze.

Oficjalny organ samorządu rzemieślniczego („Rzemiosło“ Nr. 9 z r. 1936, str. 16) w ten sposób charakteryzuje obecny stan techniczny warsztatów rzemieślniczych:: „...rzemiosło nasze, jeśli mówić o całym kraju zelektryfikowane jest najwyżej w jakichś 5% i to tylko pod względem posiadania siły elektrycznej, a nie tych wszystkich maszynek i przyrządów elektrycznych, które stanowią o prawdziwym postępie“. Poprzestajemy na tej charakterystyce. Dane dotyczące zbytu obrabiarek, narzędzi i t.p. ogłaszane przez G. U. S. niestety nie mogą być wykorzystane, gdyż statystyka nie wyodrębnia produkcji na potrzeby przemysłu rzemieślniczego.

Ceny podstawowych surowców przy fabrykacji maszyn i narzędzi t. zn. żelaza i stali, ceny energji elektrycznej — oto istotne momenty, decydujące o wzmożeniu potencjału technicznego produkcji rzemieślniczej. Niemniej istotny moment tkwi w nastawieniu i metodach handlowych przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego. Z pośród maszyn stosowanych w rzemiośle najszybciej rozpowszechniła się maszyna do szycia, przedewszystkiem dzięki specjalnej polityce sprzedaży fabryk produkujących te maszyny (np. system sprzedaży firmy „Singer“).

Modernizacja rzemiosła nie nastąpi na skutek zmiany systemu kwalifikacyjnego. Zależność między temi zjawiskami jest raczej odwrotna. Nie należy przesadzać w obawie, że niski poziom wiadomości technicznych właścicieli warsztatów rzemieślniczych stanie na przeszkodzie rozpowszechnieniu nowoczesnych środków technicznych. Tymczasem bardzo mało zrobiono w kierunku udostępnienia tych środków. Jeżeli chodzi o pomoc techniczną warto zaznaczyć, że zagranicą nawet średni przemysł korzysta z usług samodzielnych biur technicznych, pracujących dla szeregu przedsiębiorstw, które nie mogą zatrudnić wykwalifikowanych specjalistów, (inżynierów, techników, konstruktorów, kalkulatorów lub rysowników). W ten

sposób otwiera się nowe pole dla zatrudnienia inteligencji technicznej.

Obecny stan organizacji pracy w warsztatach rzemieślniczych jest prawdopodobnie jeszcze gorszy niż stan wyposażenia technicznego. Charakterystyczny jest fakt ,że 8-godzinny dzień pracy spotyka się na terenie rzemiosła z oporem nieporównanie silniejszym niż w przemyśle fabrycznym. Jeżeli wskutek wadliwej organizacji pracy znaczną część dnia roboczego pochłaniają ruchy nieprodukcyjne, to 8-godzinny dzień pracy staje się absurdem.

Według teorji klasycznej ekonomiki politycznej w czasie kryzysu i depresji gospodarczej odbywa się rugowanie z rynku przedsiębiorstw słabszych. W przemysłach przetwórczych, bezpośrednio związanych z spożyciem proces ten powinien mieć specjalnie ostry przebieg. Tymczasem w rzemiośle obserwujemy proces wręcz odwrotny. W latach kryzysowych przyrost roczny nowych warsztatów szacuje się do 15.000.

Dopływ do rzemiosła z innych zawodów rekompensuje się częściowo odpływem spauperyzowanych rzemieślników do handlu domokrążnego i ulicznego oraz do nierzemieślniczych, dorywczych zajęć usługowych. Np. wśród sprzedawców obwarzanków w Warszawie ex-rzemieślnicy stanowią ok. 50% („Gosp. Nar." Nr. 20 z dn. 15.X. 1935 r.).

Główna masa przyrostu składa się z usamodzielnionych pracowników rzemieślniczych. Popęd do usamodzielnienia się jest wywołany masowemi redukcjami i niskim poziomem płac.

Dzięki czemu utrzymuje się w walce konkurencyjnej nowo powstały warsztat, przeważnie o znikomym lub żadnym kapitale inwestycyjnym i obrotowym? Prymitywizm produkcji, zacofanie techniczne i organizacyjne w większych warsztatach rzemieślniczych nie daje żadnej przewagi w walce konkurencyjnej z nowopowstałym, drobnym i jeszcze bardziej prymitywnym warsztatem.

Są różnice w odcieniach prymitywizmu, jest większa wprawa ręczna w danem rzemiośle, ale niema takiej różnicy w poziomie technicznym i organizacyjnym, którąby zdecydowała o przewadze gospodarczej.

Niska wydajność pracy powoduje niski poziom płac, a w konsekwencji i pęd do usamodzielnienia się pracowników przez zakładanie nowych drobnych warsztatów. Niska wydajność pracy w dalszym ciągu stwarza równe szanse konkurencyjne między staremi a nowopowstałemi warsztatami.

Pozatem system podatkowy i obciążeń socjalnych stwarza preferencję dla pracujących bez pomocy sił najemnych, czyli dla warsztatów najdrobniejszych. Należy również uwzględnić zmiany po stronie popytu, wywołane kryzysem. W czasie kryzysu mniej kupuje się i zamawia nowych przedmiotów, więcej natomiast reperuje się, remontuje i odnawia. Do prac reperacyjnych jest przedewszystkiem poszukiwany rzemieślnik najtańszy, gdyż stopień kwalifikacyj zawodowych przy tego rodzaju pracach nie odgrywa większej roli.

Organizmy prymitywne mnożą się najprościej i najszybciej. Komórka pierwotniaka rozpada się perjodycznie na dwie nowe komórki. Przedsiębiorstwo w myśl starej definicji prawniczej jest „związkiem rzeczy". Spoistość tego związku wzrasta w miarę skomplikowania urządzenia technicznego lub w miarę postępów wewnętrznego podziału pracy.

Policyjne rygory ustawy przemysłowej mogą być skierowane przeciw objawom, a nie przeciw przyczynom „naturalnych" procesów rozkładowych w tradycyjnem rzemiośle.

Przypuśćmy jednak, że bezwzględne stosowanie przepisów ustawy może doprowadzić do redukcji liczby warsztatów rzemieślniczych i ograniczyć przyszły przyrost. Przy ocenie gospodarczych skutków likwidacji części warsztatów nie wolno zapomieć o tem, że każdy z pracujących w rzemiośle jest jednocześnie konsumentem innych wyrobów rzemieślniczych. Skoro 70% obrotów ludności drobnomieszczańskiej jest związanych z konsumcją miejską (Prace Instytutu Bad. Konj. t. IV. z. 2, str. 62 — 67) i skoro rzemiosło zatrudnia więcej osób niż przemysł fabryczny — wymiana wewnętrzna między poszczególnemi gałęziami rzemiosła powinna pochłaniać znaczny odsetek ogólnej produkcji rzemieślniczej. Sytuacja warsztatów pozostałych na rynku może poprawić się tylko wtedy, jeżeli skurczenie ogólnych obrotów, wywołane likwidacją części warsztatów nie wywoła dalszej zniżki cen. Takiej zniżce cen może zapobiec przymusowa organizacja cechowa, która będzie miała wpływ na regulację i stabilizację cen. Dowód uzdolnienia jest tylko fragmentem średniowiecznego ustroju rzemiosła, który się opiera na przymusie cechowym. Przymusowe ograniczenie liczby producentów nie odnosi zamierzonych skutków gospodarczych, o ile nie jest uzupełnione przymusowem regulowaniem cen.

Fragmentaryczność współczesnego systemu reglamentacji rzemiosła nie jest najważniejszą luką. System ten nie chroni przed konkurencją przemysłu fabrycznego, bo w przemyśle tym nie obowiązuje dowód uzdolnienia.

Niektóre przemysły fabryczne są nawet poniekąd zainteresowane w ograniczeniu dopływu do rzemiosła. W niektórych wypadkach takie ograniczenie drobnej wytwórczości może oczyścić rynek dla ekspansji przemysłu fabrycznego.

W ciągu ostatnich trzech lat produkcja obuwia mechanicznego nie wzrasta, a nawet wykazuje lekką tendencję do spadku. Wyeliminowanie większej liczby nielegalnych warsztatów szewckich, produkujących obuwie ręczne tańsze od mechanicznego — leży w interesie fabryk obuwia.

O nowych inwestycjach fabrycznych w przemyśle odzieżowym niema mowy dopóki istnieje nadmiar tanich wasztatów krawieckich.

Ograniczenie liczby nowych jatek i likwidacja części istniejących umożliwi przemysłowi bekonowemu dalsze opanowanie wewnętrznego rynku mięsnego.

B. G. K. udzielił wielkim piekarniom mechanicznym kredytu na 1,2 milj. zł. B. G. K. uważa, że odmrożenie tych kredytów może nastąpić pod warunkiem likwidacji małych piekarni.

System reglamentacji rzemiosła nie chroni również drobnej wytwórczości przed wyzyskiem kapitału handlowego. W myśl rozporządzenia Min. P. i H. z d. 27.V. 35 r. uzupełnionego okólnikiem z dn. 31.I. 36 r. większość dotychczasowych chałupników powinna być zaliczona do samoistnych rzemieślników. Ustawa przemysłowa nie zabrania jednak kupcom skupywać wyroby rzemieślnicze z własnych lub powierzonych materjałów. Zależność gospodarcza i socjalna chałupnika może być zamaskowana formą zwykłego kupna towarowego. Ustawa przemysłowa raczej ułatwia takie zamaskowanie, bo chałupnik jest traktowany formalnie jako samoistny rzemieślnik. Rygory ustawy nie zastąpią braku spółdzielczego aparatu sprzedaży lub braku zdrowego handlu komisowego, najlepiej zabezpieczających udział producenta w cenie towaru.

Rzemiosło cierpi na dotkliwy brak zarówno kapitałów własnych, jak i kredytów.

Znany jest fakt tezauryzacji oszczędności. Jeszcze długo trzeba czekać, aż drobny ciułacz w Polsce zdecyduje się na zakup akcyj przemysłowych. Tymczasem psychologicznie jedyną możliwością bezpośredniego wciągnięcia drobnych oszczędności w proces produkcji jest inwestycja w drobnym warsztacie. Dopływowi tych drobnych kapitałów do rzemiosła stoją na przeszkodzie rygory ustawy przemysłowej, które nie pozwalają na prowadzenie warsztatu bez dowodu uzdolnienia, nawet wtedy gdy angażuje się mistrza na wspólnika, zastępcę lub kierownika. Przypuśćmy jednak, że nasz ciułacz złoży swe oszczędności na książkę oszczędnościową, może w drodze okólnej poprzez instytucję kredytową trafią one do rzemiosła.

Właśnie te oszczędności są dla rzemiosła prawie niedostępne. Fachowiec, który mógł być zaangażowany na wspólnika lub zastępcę — kredytu na budowę lub rozszerzenie warsztatu nie otrzyma, bo długoterminowego kredytu rzemiosło nie otrzymuje wogóle. Tenże fachowiec prawdopodobnie nie otrzyma ani krótko — ani średnioterminowej pożyczki, jeżeli nie wykaże się odpowiedzialnością majątkową (czyli tem, co mu brakuje!).

W niektórych zawodach rzemieślniczych obserwujemy nierównomierność nasycenia pomiędzy poszczególnemi dzielnicami lub ośrodkami. („Geografja rzemiosła“ K. Sokołowskiego w „Polsce Gospodarczej“ Nr. 11 z 1936 r.). Przepisy ustawy przemysłowej będą oddziaływały w kierunku utrzymania tych nierównomierności. Kształcić się w rzemiośle można tylko u mistrza, a zatem terminatorzy będą koncentrować się w dotychczasowych ośrodkach skupienia. Również czeladnicy będą skupiali w tych ośrodkach, bo tam gdzie jest najwięcej warsztatów najłatwiej znaleźć miejsce dla odbycia wymaganej ustawą praktyki.

NOTATKI

DEFETYZM CZY SAMOOBRONA

Nie ulega najmniejszej kwestji, że normalny, typowy przedsiębiorca kapitalistyczny kieruje się w swej działalności głównie motywem zysku od kapitału, włożonego do przedsiębiorstwa. Musi on przeto zważać na warunki zewnętrzne, w jakich przyszło mu pracować i zarabiać. Stąd wszelkiego rodzaju perturbacje polityczne, jak wogóle wszystkie wypadki, rozgrywające się poza przedsiębiorstwem, mają doniosły wpływ na rodzaj i kierunek gospodarowania.

Przedsiębiorca jest nietylko menager'em tej czy owej jednostki gospodarczej, posiadającej swój własny byt i swój własny cel, lecz jest również obywatelem swego kraju, człowiekiem danego społeczeństwa. Ale rozumie on dobrze, iż idealne warunki zewnętrzno - polityczne należą do rzadkości, że przeżywane komplikacje socjalne mają swe podłoże nie w odruchach ulicznego tłumu, lecz w trudnej strukturze *własnego* gospodarstwa narodowego, że przezwyciężanie defetyzmu i paniki leży w interesie tak ogółu (uzdrowienie opinji publicznej), jak i gospodarującej jednostki, że ucieczka zbyt łatwo doprowadzić może do wyeliminowania tego, kto ucieka...

że kapitał i kapitalista są ostrożni — rzecz jasna i zrozumiała, a nawet korzystna. Zapobiega to angażowaniu się jednego i drugiego w operacjach spekulacyjnych. Nie jest natomiast rzeczą dobrą i zdrową, jeżeli kapitał odznacza się płochliwością. Dla łódzkiego czasopisma „Polityka Gospodarcza” płochliwość kapitału, poddawanie się panice etc. jest rezultatem „złej polityki” rządowej; dla nas cechy te wynikają ze stosunku kapitalisty do całokształtu warunków, w jakich on pracuje. „Polityka Gospodarcza”, pisząc o nieznanych nam wypadkach „rozbijania głów, grabienia sklepów, podpalania domów” (zajścia lwowskie zostały w ten sposób oddane w sposób niekoniecznie wierny), usprawiedliwia tych wszystkich „wybitnych przedsiębiorców”, którzy, mając finansową możność dokonania pewnych inwestycyj, nie czynią ich tylko dlatego, że nie wiedzą, co będzie jutro” („P. G.” Nr. 14); według naszego na tę rzecz poglądu „wybitność” tych przedsiębiorców kończy się z chwilą, gdy poddają się oni panice wyolbrzymionych, o ile nie wyimaginowanych sytuacyj. Defetysta nie może być dobrym przedsiębiorcą.

Zaprzestanie inwestycyj, odpływ kapitałów zagranicę, rejterada poza granice „niepewnego” kraju — wszystkie te zjawiska znane są powszechnie. I wiemy, że nie wszystkie kapitały, a raczej nie wszyscy kapitaliści panice podlegają i panikę... tworzą. Bardzo charakterystyczny stosunek opozycji t. zw. prawicowej do ostatnich zarządzeń anty-tezauryzacyjnych wykazują, iż walka z tezauryzacją i paniką, nastawienie aktywne do przezwyciężenia kryzysu i wiara w równowagę kursu złotego są udziałem również i tych elementów, które na politykę wewnętrzną

zapatrują się o wiele bardziej krytycznie, aniżeli „Polityka Gospodarcza". Dlatego należałoby raczej postawić pytanie, czy nie istnieje czasami jakaś współzależność pomiędzy tezauryzacją a reakcją niektórych grup społeczeństwa na stanowisko opinji publicznej w związku z ubojem rytualnym? Albo — czy na wymianie towarowej i kapitałowej pomiędzy Polską a Palestyną, ta ostatnia nie skorzystała w ostatnich czasach więcej niż Polska i czy to naprawdę wynikało z potrzeb gospodarczych „ziemi obiecanej"?... Pytania te stawiamy, bo dążenie do wzmocnienia „siły samoobronnej" (słowa „Polityki Gospodarczej") musi być wolne od niedomówień i niejasności.

z. i.

DZIADY W CYLINDRACH

Był taki film: „Panowie w cylindrach". Rzecz dzieje się w Ameryce. Film amerykański.

W Polsce dzieje się inaczej. Prezydent m. st. Warszawy wydaje zarządzenie, mocą którego w terminie kilkumiesięcznym pp. szoferzy taksówek stołecznych mają obowiązek zaopatrzyć się w odpowiednie czapki (t. zw. belgijki), mundury i płaszcze. Żeby było ładniej, porządniej, estetyczniej. Żeby obywatel swój i cudzy, jadąc po kocich łbach roztrzęsionym starym „Fordem" (z czasów, gdy „Ford" nie był zaliczany do samochodów), mógł się pocieszać pięknie skrajanym płaszczem i fasonem czapki p. kierowcy.

Trudno mieć pretensje do prezydenta miasta, że dba o porządek i estetykę spraw (i osób) w stolicy. I nie on ponosi odpowiedzialność za to, że postacie warszawskich taksówek robią wrażenie rupieciarni, samochodowego Kercelaka. Winowajca tego, co obserwuje każdy z nas, istnieje ponad prezydentem stolicy. Winowajcą tym jest brak jawnej, męskiej decyzji, jak ma być prowadzona polityka motoryzacji kraju.

Jakto: a ulgi podatkowe dla zakupu nowych samochodów? — I owszem, ulgi te są pierwszorzędne. Ale cóż z tego, jeśli korzyści z nich odniosą jedynie ludzie o wysokich zarobkach, owe „górne dziesięć tysięcy", które i tak już mają własne auta. Z ulg podatkowych nie skorzysta jednak żaden „szary człowiek", żaden przeciętny posiadacz starej taksówki, chcący ją wymienić na nową, gdyż — poprostu — ma zbyt małe dochody i zbyt małe płaci od nich podatki, by mu ulga podatkowa dała możność nabycia samochodu. Przy cenie 5 — 6.000 zł. za najtańszy samochód te kilkaset złotych potrąceń podatkowych naprawdę roli nie odegra. Co innego, gdyby auto kosztowało 2 — 3.000 zł. Wtedy i ulgi podatkowe byłyby zbędne.

Ilość taksówek, zależna od ich ceny, może być lepszym wskaźnikiem motoryzacji kraju, aniżeli ilość aut spacerowych i reprezentacyjnych. Cena benzyny decyduje o cenie przejazdów i popycie na korzystanie z taksówek, ale przy obecnych cłach i cenach prohibicyjnych nasz tabor somochodowy nie będzie się ani zwiększał, ani modernizował, a popyt siłą rzeczy zwróci się w innym kierunku.

br.

PLOTKI

Plotkarstwo polityczne jest drogą najmniejszego oporu dla poszukiwaczy sensacji. Nasilenie plotkarstwa rośnie tem bardziej, im trudniejsze jest zaspokojenie głodu sensacyjności.

Tych kilka uwag pod adresem sprawozdawców, którzy zasilili łamy Gońca Warszawskiego i Czasu informacjami o „wydarzeniach" w łonie naszej grupy musimy uzupełnić czemś jeszcze. Prosimy nie naklejać nam żadnej gotowej etykiety, która do nas się nie nadaje i nie łączy nas z ugrupowaniami politycznemi, skoro zespół nasz z żadnemi z nich się nie łączy.

GOSPODARKA NARODOWA.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.